

Techno-terror

Pierwotnie zamierzałem napisać dwie książki. Pierwsza miała być krytyką społeczeństwa technologicznego, takiego jakie spotykamy w Stanach Zjednoczonych, czymś w rodzaju kontynuacji mojej pracy "Four Arguments for the Elimination of Television" (Cztery argumenty za wyeliminowaniem telewizji). Tyle, że zamiast koncentrować się na telewizji, skupiałaby się na nowej ideologicznej propagandzie i jej efektach: "społeczeństwie informacyjnym", komputeryzacji, robotyzacji, podróżach kosmicznych, sztucznej inteligencji, genetyce, komunikacji satelitarnej. To wydawało mi się być czymś na czasie, ponieważ te technologie zmieniają świat w zadziwiający i coraz większym tempie. Dotychczas większość ludzi postrzegała te zmiany jako korzystne. Ale czy rzeczywiście takimi one są?

Łatwo zrozumieć to, że nasze społeczeństwo będzie miało skłonność do patrzenia na nowe technologie przez różowe okulary. Pierwsze doniesienia na temat każdej nowinki technicznej są niezmiennie pozytywne i optymistyczne. Dzieje się tak dlatego, że w naszym społeczeństwie informacja jest dostarczana przez tych, którzy chcą odnieść korzyści z tego, że ją zaakceptujemy: korporacje i ich pomagierów z rządu i środowisk naukowych. Nikomu nie zależy na informowaniu o negatywnych aspektach nowych technologii, więc opinii publicznej dostarcza się informacji o pierwszych wrażeniach i oczekiwaniach ze źródeł, które są niedwuznacznie stronnicze.


Z czasem, w miarę jak kolejne pokolenia idealizowanych innowacji technicznych są wprowadzane i prezentowane na forum publicznym, w wizjach futurologów i poprzez warte setki miliardów dolarów reklamy wykształca się w nas oczekiwanie technologicznej utopii tu na Ziemi i w ogromnych miastach zbudowanych pod kopułami na innych planetach. Zaczynamy traktować ewolucję technologiczną na równi z biologiczną, jak gdyby były one równie nieuchronne, i nieledwie identyczne. Obowiązującymi mantrami stały się "Postęp jest dobry", "Nie ma odwrotu" i "Technologia uwolni ludzi od chorób, wojen i nieustannego znoju".

Dyskusja wokół tych kwestii jest bardzo utrudniona, ponieważ poglądy na temat technologii w naszym społeczeństwie wyznawane są ponad podziałami politycznymi i klasowymi. Lewica przyjmuje na nią to samo spojrzenie jak korporacje, futurologi i prawica. Technologia, ich zdaniem, jest neutralna - nie ma własnych poglądów politycznych, ani nie niesie za sobą żadnych zmian społecznych czy ekologicznych, które byłyby nieuniknione. W takim ujęciu, wszystko zależy od tego, kto kontroluje technologię.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat uczestniczyłem w bardzo wielu konferencjach poświęconych przyszłości technologii. Na każdej z nich - nieistotne, czy sponsorowanej przez rząd, przemysł, czy przez organizacje ekologiczne lub kogokolwiek innego - ktoś zawsze przemówi do zebranego gremium w tym mniej więcej tonie: *"Istnieje wiele problemów związanych z technologią i nie możemy tego nie dostrzegać, ale te problemy mają swoje źródło nie w technologii jako takiej. Są spowodowane sposobami, w jakie zdecydowaliśmy się ją wykorzystywać. Możemy - i musimy - robić to lepiej. Maszyny nie powodują problemów, ale ludzie - tak"*. Takie kwestie są zawsze wypowiedane jak gdyby stanowiły jakieś niezwykle doniosłe i oryginalne odkrycie, podczas gdy w rzeczywistości wszyscy mówią dokładnie to samo.

Idea technologii rozumianej jako coś neutralnego sama w sobie nie jest neutralna - w bezpośredni sposób służy interesom ludzi, którzy odnoszą korzyści z naszej nieumiejętności dostrzeżenia tego, dokąd zmierza rozpędzona machina, na której wszyscy jedziemy.

Po raz pierwszy zwróciłem na ten problem uwagę w latach 60., kiedy spostrzegłem, jakiej fascynacji domniemanymi możliwościami telewizji uległo nasze społeczeństwo. Aktywiści społeczni, tak jak wszyscy, postrzegali technologię w sposób instrumentalny i zaczęli konkurować z resztą społeczeństwa o swoje 20 sekund w głównym wydaniu wiadomości. Wybuchła swojego rodzaju wojna o dostęp do tego nowego potężnego narzędzia, które pozwala przekazywać obrazy bezpośrednio do mózgów całego społeczeństwa, jednakże jej wynik był z góry przesądzony - jak to powinniśmy byli od razu przewidzieć, technologia telewizyjna musiała dostać się pod kontrolę korporacji, rządu i wojska. Ze względu na zasięg geograficzny telewizji, wysokość kosztów, niewiarygodną siłę oddziaływania na wyobraźnię i zdolność do ujednolicania myśli, zachowania i kultury ludzi, telewizja okazała się dla wielkich korporacji wyjątkowo skutecznym narzędziem trwałego narzucania stylu życia, który służyłby (i nadal służy) ich interesom. A w czasach narodowych kryzysów, rząd i armia mają w telewizji świetny instrument do scentralizowanej kontroli informacji i umysłów. Tymczasem, wszyscy inni uczestnicy gry o kontrolę nad mediami praktycznie odpadli z wyścigu.

Obecnie przeżywamy szal fascynacji komputerami, które, jak głosi teoria, mogą umożliwić jednostkom i  niewielkim grupom stworzenie nowej demokracji informacyjnej. W rzeczywistości, kwestia tego, kto odniesie największą korzyść z komputerów została rozstrzygnięta już w momencie ich wynalezienia. Komputery, jak telewizja, są dużo bardziej wartościowe i pomocne dla wojska, międzynarodowych korporacji i instytucji finansowych oraz dla rządów, dla instytucji inwigilacji i kontroli - wszyscy oni używają ich na skalę i z szybkością, która jest poza naszym wyobrażeniem - niż kiedykolwiek będą dla ciebie czy dla mnie.

Komputery sprawiły, że możliwym stało się momentalne przemieszczanie oszałamiających ilości pieniędzy, informacji i narzędzi informatycznych poprzez cały świat, co dało bezprecedensową, niesłychaną potęgę największym instytucjom na planecie. Faktycznie, używamy naszych komputerów osobistych i podpinamy się do źródeł informacji - i pragniemy wierzyć, że czyni nas to potężniejszymi.

Nawet działacze ekologiczni przyczynili się do tego problemu, nie potrafiąc efektywnie krytykować ewolucji technologicznej pomimo jej oczywistego, nieodłącznego i coraz większego antagonizmu wobec natury. Obawiam się, że docelowy punkt, do którego dąży technologia, stanie się dla nas jaskrawo widoczny dopiero, gdy porzucimy dogmaty "ery informacyjnej" - która wytworzyła sobie coś w rodzaju życzliwego sobie kręgu entuzjastów - i zdamy sobie sprawę ze stawki gry na dwóch ostatnich dużych polach bitwy o "zachowanie naturalności": w przestrzeni kosmicznej i na poziomie struktur genetycznych żywych organizmów. Tam właśnie będzie miała początek ewentualna "era postbiologiczna", era nanotechnologii i robotyki, której zwolennicy nawet nie starają się udawać troski o świat natury. Uważają go za niemądry oraz "przestarzały".


Pierwsza ze wspomnianych książek miała stawiać pytania na temat tego, czy społeczeństwo technologiczne dorasta do pogodnego wizerunku, jaki roztaczają jego reklamy, a także wyrazić głęboki niepokój związany z przyszłymi losami tegoż społeczeństwa. Jak dotąd byliśmy bezsilni w obliczu tego molocha, częściowo z powodu braku jakiegokolwiek wprawy w krytycznym patrzeniu na technologię. Tak naprawdę nie mamy pojęcia, jak oceniać nowe lub już istniejące technologie. Oczywiście jest, że potrzeba nam nowego, holistycznego języka do opisu technologii, takiego, który za nic miałby slogany rodem z reklam, pobożnośczeniowe warianty i urocze wizje, którymi jesteśmy bombardowani; musimy także zacząć metodycznie oceniać technologie z różnych perspektyw: społecznej, politycznej, ekonomicznej, duchowej, ekologicznej, biologicznej i militarnej. Kto zyskuje? Kto traci? Czy nowe technologie służą destrukcji czy stabilizacji naszej planety? Jak wpływają na nasze zdrowie? A na psychikę? W jaki sposób wpływają na nasze wzajemne relacje z naturą i sposób jej wartościowania? Jakie będą ich interakcje z technologiami powstałymi wcześniej? Co takiego umożliwiają, czego nie dało się zrobić przed ich opracowaniem? Co tracimy? Czy to właśnie jest to,

czego chcemy? W końcu, możemy stwierdzić, że ewolucja technologiczna prowadzi do czegoś niespotykanego wcześniej: obejmującej cały świat, pełnej wewnętrznych powiązań, jednolitej, techniczno-politycznej sieci bezprecedensowych negatywnych skutków.

Druga moja książka miała być czymś w rodzaju kontynuacji i uaktualnionej wersji "Pochowaj me serce w Wounded Knee" Dee Browna (1), która zrobiła na mnie kolosalne wrażenie, kiedy przeczytałem ją 30 lat temu. Z jednej strony, książka ta jest prawdziwym arcydziełem, opisującym w sugestywny sposób obłudę i brutalność Stanów Zjednoczonych wobec Indian. Jednakże w pewnym sensie Brown wyświadczył Indianom niedźwiedzią przysługę, gdyż jego książka zdaje się sugerować, że wszyscy oni ulegli zagładzie, i że teraz już nic w ich sprawie zrobić się nie da. Książka daje czytelnikowi możliwość przeżycia swoistego katharsis, po jej przeczytaniu czuje się on, jakby już nie był nic nikomu winien. Wspólnie z popularnymi obrazami pochodzącymi z telewizji czy filmów, książka pozwoliła odesłać kwestię indiańską w daleką przeszłość.

Nawet liberalni intelektualiści, którzy uznają okropieństwa, jakich dopuścili się biali na tych ziemiach i wyczuleni na kwestie sprawiedliwości, mają tendencję do mówienia o tragedii Indian jako o czymś należącym do odległej przeszłości. Ta postawa jest tak głęboko zakorzeniona, że kiedy od czasu do czasu nie-Indianie występują jako rzecznicy problemów współczesnych Indian - jak Marlon Brando, William Kunstler, Robert Redford, Kevin Costner, Jane Fonda - wsadza się ich do szufladki z napisem "niepoprawni romantycy". Ludzie są nieco zażenowani w ich imieniu, jak gdyby przekroczyli jakąś granicę tego, co stosowne.

Kiedy działacze ruchu ochrony środowiska, tacy jak David Brower, wypowiedzą się czasem publicznie na temat tego, jak baczną uwagę powinniśmy zwrócić na tradycyjną mądrość Inuitów (2), uznaje się ich za niepraktycznych, "niefajnych", nieroztropnych, nie umiejących "grać zespołowo". Jeśli jakieś zagadnienie wymaga skonfrontowania pierwotnych sposobów życia z aktualnymi problemami ekologicznymi, jak ma to miejsce np. w przypadku zastawiania sideł w celu zdobycia futer czy polowania na foki lub wieloryby, by nie umrzeć z głodu, wówczas punktowi widzenia tradycyjnych wspólnot nie daje się należnego posłuchu. Luminarze literatury, jak Peter Matthiessen, są ponadto krytykowani za nawiązywanie do współczesnych problemów Indian - po ukazaniu się książki "In the Spirit of Crazy Horse and Indian Country" sugerowano, że jej autor powinien ograniczyć się do praktyk Zen (3).

Ja też miałem podobne doświadczenia. W "Czterech argumentach..." opisałem kilka sporów ze społecznościami  indiańskimi jako przykład stronniczości mediów. Zaskoczył mnie fakt, jak wielu recenzentów cytowało te fragmenty jako głupie. Gene Youngblood, na przykład, szanowany radykalny pisarz zajmujący się problematyką mediów powiedział: "Mander jest taki naiwny... Dobry Boże, odgrzewany kotlet z lat 60., Indianie...". Miałem wrażenie, że nawet Nelson Mandela miał podobne podejście, gdy mówił o Indianach podczas swej wizyty w USA. Doniesienia na ten temat wydawałyby się sugerować, że niezbyt zrozumiał problemy "naszych Indian".

Problem Indian nie należy do odległej przeszłości. Wiele najgorszych kampanii wymierzonych w Indian rozpętało zaledwie od 80 do 100 lat temu. To były czasy waszych pradziadków... Model T Forda jeździł wtedy po ulicach. Co ważniejsze, atak trwa do dzisiaj. Chociaż okres bezpośrednich działań militarnych w stylu generała Custer przeciwko ludności indiańskiej raczej już minął, bardziej subtelne, choć równie wyniszczające, prawne manipulacje w dalszym ciągu odcinają Indian od ich ziemi i suwerenności, tak jak to widać na przykładzie straszliwych wydarzeń na Alasce.

Stany Zjednoczone ciągle zamieszkuje ponad półtora miliona Indian. Znaczna ich część w dalszym ciągu żyje na dzikich i odludnych terenach i na dalekiej północy Alaski, często praktykując te same tradycyjne sposoby na przeżycie na tych samych obszarach, na których ich przodkowie żyli przez

tysiąclecia. W przeciwieństwie do popularnych poglądów, większość z nich nie ma wcale ochoty zostać Amerykanami, pomimo ekonomicznych, kulturowych i prawnych nacisków.

W innych miejscach na świecie miliony członków lokalnych wspólnot również żyją w tradycyjny sposób, w różnym stopniu odczuwając negatywne skutki ekspansji zachodniego społeczeństwa technologicznego. W miejscach takich jak Indonezja, Borneo, Nowa Gwinea, puszcze Amazonii, Boliwia, Peru, Ekwador, Gwatemala, część środkowej Afryki, północna Kanada, a nawet Skandynawia, były Związek Radziecki, Chiny, Tybet, ludy plemienne walczą o zachowanie ziem przodków. W innych częściach świata, na przykład w Indiach, Iraku, Turcji, Meksyku, Chile, Nowej Zelandii, Australii czy na wyspach Pacyfiku kolejne miliony żyją "pomiędzy" tymi dwoma porządkami wartości, przeżywając kulturowe, ekonomiczne bądź militarne obłędzenie.

Według Cultural Survival, bostońskiej organizacji zajmującej się obroną praw człowieka, obecnie na świecie co najmniej trzy tysiące plemiennych narodów w dalszym ciągu funkcjonują w granicach państw o zaledwie dwustuletniej historii, domagających się uznania swojego zwierzchnictwa. Wiele spośród konfliktów zbrojnych, które nasze media opisują jako "wojny domowe" lub "próby przejęcia władzy przez partyzantkę", są w istocie próbami wyzwolenia się narodów plemiennych spod dominacji większych państw-narodów. W Gwatemali dotyczy to Majów, w Birmie (4) Karenów, w Amazonii - między innymi ludów Yanomamo i Xingu. W Mikronezji o wyzwolenie walczą Belauanowie, w Indonezji - ludy zamieszkujące prowincję Irian Jaya (5).

Być może najbardziej bolesną dla Amerykanów konstatacją jest fakt, że w przypadku wielu z tych leżących poza granicami ich państwa miejsc - dotyczy to szczególnie Ameryki Południowej, wysp Pacyfiku, Indonezji i Filipin - walka rdzennych mieszkańców o zachowanie swoich ziem i swojej wolności jest często wymierzona przeciwko Stanom Zjednoczonym - ich korporacjom, technologii czy armii. Co ważniejsze, jest wymierzona przeciwko ich mentalności i podejściu do kwestii Ziemi i naszego na niej miejsca, które autochtoni uważają za zupełnie wypaczone. Przez całe wieki mieli z nami styczność i mówili, że naszym poglądom czegoś brakuje. Jednak my ignorowaliśmy to, co mówili. Danie im posłuchu oznaczałoby zaprzestanie tego, co przez cały czas robiliśmy i konieczność szukania innych dróg. To właśnie ta ogromna różnica światopoglądów sprawiła, że atak na Indian był nieuchronny.

Kiedy planowałem napisane tych dwóch książek, stało się dla mnie oczywiste, że ich tematyka jest nierozzerwalnie połączona. Należą do siebie nawzajem, są w istocie jedną książką. Nie da się zrozumieć sytuacji Indian, Eskimosów, Aborygenów, mieszkańców wysp czy też innych pierwotnych grup społecznych bez zrozumienia zewnętrznych społeczeństw, które na nie oddziałują. Podobnie jak nie da się zrozumieć tych zewnętrznych społeczeństw bez poznania ich relacji z ludami tubylczymi i z naturą jako taką.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, można by uznać upatrywanie cnoty w podporządkowywaniu sobie natury i tradycyjnych ludów jako centralne założenie społeczeństwa technologicznego. Współczesny problem Indian jest bezpośrednio powiązany, jak zresztą zawsze był, z zapotrzebowaniem społeczeństw industrialnych na znalezienie i opanowanie odległe położonych zasobów, w celu zaspokojenia nieodłącznego im i nieprzerwanego popytu na wzrost i technologiczne spełnienie. Ten proces zaczął się w naszym kraju setki lat temu, kiedy zapragnęliśmy więcej ziemi i złota. Dzisiaj nadal trwa, gdyż pragniemy węgla, ropy, uranu, ryb oraz jeszcze więcej ziemi. Kiedy przyjrzymy się reszcie świata - czy będzie to arktyczna część Kanady, dżungle Borneo, czy też puszcze tropikalne Brazylii - zachodzą tam takie same wzajemne oddziaływania, z tych samych powodów, często przy udziale tych samych instytucji.

Wszystko to było i jest możliwe dzięki jednemu podstawowemu intelektualnemu założeniu: nasze

społeczeństwo reprezentuje ostateczne ogniwo ewolucji, fazę jej najpełniejszego rozkwitu. To właśnie taki stosunek, i odpowiadające mu przekonanie, że pierwotne społeczeństwa zajmują wcześniejszy, niższy szczebel ewolucyjnej drabiny, na której my jesteśmy na najwyższym możliwym miejscu, zdaje się jednoczyć wszystkie współczesne polityczne punkty widzenia: prawicowy i lewicowy, kapitalistyczny i marksistowski.

Nie licząc takich powstających ruchów, jak bioregionalizm i polityczne emanacje ruchów obrońców środowiska, które co najmniej podają w wątpliwość założenia leżące u podstaw takiego nastawienia, większość członków społeczeństw zachodnich zgadza się w kwestii naszej wspólnej wyższości. Tak więc nie ma niczego złego w poniżaniu i uznawaniu za nieistotne, a zatem składaniu na ołtarzu słusznych przemian jakiegokolwiek sposobu życia czy myślenia stojącego na drodze tego, co nazywamy "postępem", którego koncepcja ma ledwie ponad sto lat. Rzeczywiście, założywszy taką wyższość, wyniszczanie Natury i pierwotnych społeczności staje się więcej niż akceptowalne - staje się wręcz pożądane, nieuniknione, a być może nawet "boskie".

Jednakże sens twierdzenia, że społeczeństwo technologiczne jest czymś lepszym od wszystkich swoich poprzedników i że bez wątpienia przyniesie nam lepszy świat, ostatnio został poważnie zakwestionowany. Rewolucja przemysłowa trwa mniej więcej półtora wieku i mieliśmy wystarczająco dużo czasu, by wyciągnąć kilka wniosków na temat jej przebiegu. Nie jest wcale przedwczesnym stwierdzenie, że ta rewolucja nie dorasta do swojej propagandy, przynajmniej jeśli chodzi o ludzkie zadowolenie, spełnienie, zdrowie fizyczne i psychiczne oraz pokój na świecie. Ponadto pewne jest, że stwarza ona straszne, a potencjalnie nawet katastrofalne sposoby oddziaływania na naszą planetę. Technologiczna utopia, choć wydaje się martwa, nie przestaje jednocześnie iść chwiejnym krokiem naprzód, poszerzając swój zasięg i stając się jeszcze bardziej arogancką i niebezpieczną.

Następne pytanie brzmi: czy możemy oczekiwać, że sytuacja będzie się zmieniała na lepsze, czy na gorsze? I co z ludźmi, którzy cały czas mówili nam, że w ten sposób nie może ona wyglądać i nadal to czynią? I wreszcie, co jest bardziej "romantycznym" punktem widzenia: pogląd, że technologia sama się naprawi i doprowadzi nas do rajy, czy że rozwiązaniem jest coś prostszego?

Jerry Mander
tłum. Michał Sobczyk

Jerry Mander - działacz i publicysta ruchu ekologicznego, autor m.in. "Four Arguments for the Elimination of Television" i "In the Absence of the Sacred: The Failure of Technology and the Survival of the Indian Nations" (zawiera rozwinięcie też z powyższego tekstu), redaktor (wraz z Edwardem Goldsmithem) pracy "The Case Against the Global Economy: And for a Turn Toward the Local". Był współtwórcą pozarządowej organizacji Public Media Center, dyrektorem niezależnej grupy badawczej Elmwood Institute i dyrektorem programowym Fundacji Głębokiej Ekologii.

Powyższy tekst pierwotnie ukazał się w czasopiśmie "The Trumpeter" Vol. 10.4, 1993. Przedruk za zgodą redakcji. Tytuł przedruku pochodzi od redakcji DŻ.

Przypisy tłumacza:

- (1) Dee Alexander Brown, amerykański pisarz i historyk, autor powieści i opowiadań opartych na ustnych tradycjach różnych plemion Indian północnoamerykańskich; sławę przyniosła mu książka "Pochowaj me serce w Wounded Knee" z 1970 r., opisująca zagładę rdzennych Amerykanów w drugiej połowie XIX wieku (książka została wydana po polsku w latach 80.).
- (2) Inuici - społeczność zamieszkująca od kilku tysięcy lat należącą do Danii Grenlandię; kiedyś byli samowystarczalnymi myśliwymi, żyjącymi w zgodzie z naturą; od czasu ich odkrycia niewiele ponad sto lat temu następuje rozpad ich kultury i wierzeń, zanik dawnego stylu życia (większość Inuitów żyje obecnie z pensji lub zasiłków rządu duńskiego, a zanik polowań spowodował rozpad tradycyjnego modelu partnerstwa w związkach małżeńskich).
- (3) Aluzja do zainteresowań Matthiessena.
- (4) Obecnie Myanmar.
- (5) Obecnie Papua Zachodnia.